

Tropizmy

Nathalie Sarraute

Tropizmy

Szymon Żuchowski

PROZA 43

Nathalie Sarraute: *Tropizmy*

PRZEKŁAD • Szymon Żuchowski

REDAKCJA • Anna Krzywania, Tomasz Swoboda

ZDJĘCIE • Marcin Niewirowicz

PROJEKT OKŁADKI • Wojtek Świerdzewski

OPRACOWANIE GRAFICZNE • Artur Burszta

KOREKTA I SKŁAD • Anna Krzywania

DRUK I OPRAWA • PASAŻ Kraków

Original title: *Tropismes*

Copyright © 1957 by Les Editions de Minuit

Copyright © by Marcin Niewirowicz, 2016

Copyright © by Szymon Żuchowski

Copyright © by Biuro Literackie, 2016

BIURO LITERACKIE

ul. Sokolnicza 5/37, 53-676 Wrocław

tel. 71 346 01 42, poczta@biuroliterackie.pl

www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-65125-40-8



Projekt współfinansowany
w ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”

I

Zdawało się, że wyłaniają się zewsząd, rozkwitłe w lekko spoconym chłodzie powietrza, że powoli wyciekają, jakby sączyły się z murów, z osiatkowanych drzew, z ławek, z brudnych chodników, ze skwerów.

Ich długie ciemne grona wysuwały się spomiędzy martwych fasad domów. Gdzieniedzie przed wystawami sklepowymi ich skupisko stawało się bardziej zwarte i nieruchome, czasami tylko drgały, jakby od lekkiego obrzmienia.

Bił od nich dziwny spokój, coś w rodzaju rozpaczliwej satysfakcji. Uważnie patrzyły na stosiki pościeli ze Świata Bielizny, wprawnie naśladujące ośnieżone góry, albo na lalkę, której zęby i oczy w regularnych cyklach zapalały się, gasły, zapalały, gasły, zapalały, gasły, zawsze w regularnych cyklach, zapalały się na nowo i na nowo gasły.

Patrzyły długo w bezruchu, trwały przed witrynami, jak ofiarowane, do kolejnego cyklu odkładając chwilę odejścia. A spokojne małe dzieci, które trzymały je za rękę, rozkojarzone, znużone patrzyeniem, cierpliwie czekały obok.

II

Odrywali się od szafy z lustrem, w której się właśnie przeglądali. Podnosili się na łóżkach: „Obiad na stole, obiad na stole!” – mówiła. Gromadziła przy stole rodzinę; wszyscy chowali się w swoich jamach, samotni, gniewni, wyczerpani. „Co z nimi nie tak, że wiecznie wyglądają na udręczonych?” – zastanawiała się, rozmawiając z kucharką.

A rozmawiała z kucharką godzinami, krzątając się przy stole, ciągle się krzątając, przygotowując dla nich napoje i dania, mówiła, krytykowała ludzi, którzy ich odwiedzali, przyjaciół: „A włosy tej i tamtej ściemnieją i będą jak u jej matki, całkiem proste; takim to dobrze, co nie potrzebują trwałej”. „Pani ma piękne włosy – odpowiadała kucharka – są gęste, są piękne, mimo że się nie kręczą”. „A ten i tamten, jestem pewna, że nie daruje ci ani grosza. Skąpcy, sami skąpcy, a mają pieniądze, mają, to wstrętne. A odmawiają sobie wszystkiego. Ja tego nie rozumiem”. „A przecież – mówiła kucharka – przecież tego ze sobą nie zabiorą. A ich córka, wciąż nie ma męża, nie jest taka ostatnia, ma piękne włosy, nossek i ładne stópki”. „Tak, piękne włosy, to prawda – mówiła – ale nikt jej nie lubi, wie pani, nie podoba się. Ha, to doprawdy zabawne”.

Czuł, że z kuchni dobiega ta myśl, mierna, brudna i drepcząca, drepcząca ciągle w miejscu, ciągle w miejscu, kręcąca się w kółko, w kółko, jakby mieć zawroty głowy, ale nie móc się zatrzymać, jakby mieć mdłości, ale nie móc się zatrzymać; jak obgryzamy paznokcie, jak odrywamy po kawałeczku skórę, kiedy się łuszczy, jak drapiemy się, kiedy mamy pokrzywkę, jak wiercimy się w łóżku podczas bezsenności, żeby sprawić sobie przyjemność i przykrość, wymęczyć się i stracić dech w piersiach...

„Ale może dla nich to było co innego”. Właśnie o tym myślał, leżąc na łóżku i nasłuchując, podczas gdy ich myśli jak lepka ślina przenikały do niego i przyklejały się, wyściełały go od środka.

Niczego nie dało się z tym zrobić. Niczego. Nie dało się tego uniknąć. Wszędzie, w niezliczonych, „zdradliwych” postaciach („Zdradliwe dzisiaj to słońce – mówiła dozorczyńni – zdradliwe, można się rozchorować. Tak jak mój biedny mąż, choć tak o sobie dbał...”), wszędzie, pod pozorami czystego życia, chwytalo cię to przed stróżówką, kiedy odbierałeś telefon, jadłeś śniadanie z rodziną, zapraszałeś znajomych, odzywałeś się do kogośkolwiek.

Trzeba było odpowiadać i delikatnie zachęcać, i przede wszystkim, przede wszystkim nie dać im odczuć, ani przez chwilę nie dać im odczuć, że ma się wrażenie bycia innym. Poddawać się, poddawać, ulegać: „Tak, tak, tak, to prawda, oczywiście” – to należało im mówić i patrzeć na nich z sympatią, z czułością, bo jak nie, to rozdarcie, rozerwanie, coś nieoczekiwanego i gwałtownego, co nigdy dotąd się nie zdarzyło i będzie przerażające.

Wydawało mu się, że zaraz, w nagłym porywie sprawczości, mocy, z ogromną siłą zrzuci ich z siebie niczym stare gałgany, zemnie, rozerwie, zniszczy do cna.

Wiedział jednak, że to prawdopodobnie mylne wrażenie. Zanim zdołaliby na nich natrzeć – kierowani jasnym instynktem, instynktem obronnym, naturalną żywotnością, która dawała im tę niepokojącą siłę – zwróciliby się przeciwko niemu i, za jednym zamachem, ani by się obejrzał, zatłukli.

III

Przybyli tu, żeby zamieszkać przy małych, spokojnych uliczkach za Panteonem od strony rue Gay-Lussac albo rue Saint-Jacques, w mieszkaniach wychodzących na ciemne dziedzińce, ale całkiem przyzwoitych i z wygodami.

Właśnie to mieli tutaj do dyspozycji, to i wolność robienia tego, co chcą, chodzenia tymi skromnymi uliczkami, jak chcą, w dowolnym ubraniu, z dowolną miną.

Nie wymagano od nich żadnego konkretnego stroju, żadnego kontaktu z innymi, żadnych uczuć, żadnych wspomnień. Proponowano im egzystencję tyleż surową, co bezpieczną, egzystencję podobną do poczekalni dworcowej na opustoszałym przedmieściu, w gołej, szarej, chłodnej poczekalni z czarnym piecem na środku i drewnianymi ławkami pod ścianą.

I byli zadowoleni, podobało im się tutaj, czuli się prawie jak u siebie, układało im się z panią dozorczynią, z mleczarką, ubrania zanosili do najdokładniejszej i najtańszej pralni w okolicy.

Nigdy nie próbowali wracać pamięcią do wsi, gdzie kiedyś mieszkali, nie próbowali nigdy odszukać barwy ani zapachu miasteczka, w którym dorastali, nigdy nie pojawiało się w ich myślach podczas spaceru ulicami nowej dzielnicy, kiedy oglądali witryny sklepowe, kiedy przechodzili przed stróżówką i grzecznie witali się z dozorczynią, nigdy nie budziło się w nich wspomnienie kawałka muru tętniącego życiem ani płyt dziedzińca, twardych i przyjemnych w dotyku, ani łagodnych stopni, na których siadali jako dzieci.

Na schodach domu spotykali czasem „lokatora z dołu”, nauczyciela z liceum, który o czwartej wracał ze szkoły z dwojgiem dzieci. Wszyscy troje mieli długie głowy z wodnistymi oczyma, lśniące

i gładkie jak wielkie jaja z kości słoniowej. Drzwi ich mieszkania uchylały się na chwilę, żeby ich wpuścić. Widać było, jak stawiają stopy na filcowych dywanikach przy wejściu – i oddalają się w ciszy, sunąc w głąb ciemnego korytarza.

NOTA O AUTORCE

Nathalie Sarraute przyszła na świat w rosyjskim Iwanowie-Wozniesieńsku w 1900 roku jako Natalja Iljicznia Czerniak w rodzinie zasymilowanych mieszczan żydowskich. Po rozwodzie rodziców przeniosła się z matką do Genewy, a następnie do Paryża, utrzymywała także regularny kontakt z ojcem, który również wyemigrował do Francji. W Paryżu mieszkała od 1910 roku aż do śmierci w 1999, jej językiem ojczystym był francuski.

Studiowała prawo i literaturę na Sorbonie, historię w Oksfordzie, a w Berlinie – socjologię. W 1925 roku poślubiła francuskiego prawnika Raymonda Sarraute'a, z którym doczekała się trzech córek. Przed wojną kilkanaście lat przepracowała jako adwokat, jednocześnie zajmując się literaturą. Pozbawiona możliwości wykonywania zawodu przez antyżydowskie ustawy rządu Vichy, w 1940 całkowicie poświęciła się pisaniu. Ze względu na współpracę z francuskim ruchem oporu musiała ukrywać się pod przybranymi nazwiskami; aby uchronić swojego męża przed usunięciem z palestry, formalnie rozwiodła się z nim, choć tak naprawdę nadal ze sobą żyli. Przez pewien czas Sarraute ukrywała u siebie Samuela Becketta, również działającego w ruchu oporu.

Debiut literacki Sarraute, *Tropizmy* – krótkie formy z pogranicza poezji, prozy i eseistyki pisane od 1932 roku – został z początku odrzucony przez renomowanych wydawców, zarówno Gallimarda, jak i Grasseta, a ukazał się w 1939 w Éditions Denoël, przeszedł bez echa. W roku 1948 wyszła pierwsza powieść Sarraute, *Portret nieznajomego*; mimo entuzjastycznej przedmowy Jeana-Paula Sartre'a, który po raz pierwszy użył w niej pojęcia antypowieści, ta książka również nie wzbudziła większego zainteresowania. W swoich esejach z lat 1947–1956 Sarraute analizowała twórczość Prousta, Joyce'a i Woolf oraz poddawała krytyce metodę Balzaka i Tołstoja. Ukazały się one w zbiorczym wydaniu jako *L'Ère du soupçon* (Era podejrzliwości, 1956) i razem z drugim wydaniem *Tropizmów*, przejrzanym i rozszerzonym (1957), legły u podstaw nurtu określonego przez Émile'a Henriota – w zamierzeniu pejoratywnie – jako „nowa powieść” (*nouveau roman*).

Oprócz Sarraute *nouveau roman* reprezentowali m.in. Claude Simon, Michel Butor, Robert Pinget, Alain Robbe-Grillet, Marguerite Duras, Samuel Beckett czy wczesny J.-M. G. Le Clézio. Twórcy ci negowali tradycję powieści realistycznej, egzystencjalistycznej i psychologicznej z ich fabularnością oraz programem filozoficznym, kładąc nacisk na aspekt autotematyczny utworu.

Bardziej od historii i psychologii postaci czy perypetii bohaterów ciekawi byli, kto opowiada historię, po co i w jaki sposób; bardziej niż mimetyzm interesowała ich subiektywna wizja narratora, którego charakter i rola są nieustannie kwestionowane. Syntetycznie ujął to krytyk Jean Ricardou, według którego nowa powieść nad opowiadanie przygód przedkłada „przygodę opowiadania”.

Nathalie Sarraute jest autorką powieści, w tym: *Martereau* (1953), *Le Planétarium* (1959), *Entre la vie et la mort* (1968), *L'Usage de la parole* (1980), *Tu ne t'aimes pas* (1989), *Ici* (1995) i *Ouvrez* (1997), oraz autobiografii *Enfance* (1983), słuchowisk radiowych i esejów. Za książkę *Les Fruits d'or* (1963) otrzymała nagrodę Prix international de littérature, jej dzieła zebrane ukazały się w prestiżowej serii „Bibliothèque de la Pléiade” Gallimarda jeszcze za życia autorki, a *Tropizmy* trafiły na listę stu najważniejszych książek XX wieku dziennika „Le Monde”. Z bogatego dorobku pisarskiego Sarraute w Polsce opublikowano *Portret nieznajomego* (1959) i *Czy słyszy pan te śmiechy?* (1975).

Sz. Ż.

SPIS TREŚCI

I [Zdawało się, że wyłaniają się zewsząd...]	5
II [Odrywali się od szafy z lustrem...]	6
III [Przybyli tu, żeby zamieszkać...]	8
IV [Z błędnym wzrokiem...]	10
V [W gorące lipcowe dni...]	12
VI [Wyskakiwała z łóżka...]	14
VII [Byle nie przy nim...]	16
VIII [Kiedy przebywał z istotami młodymi...]	18
IX [Skuliła się w rogu fotela...]	20
X [Po południu wychodziły razem...]	22
XI [Rozwikłała tę zagadkę...]	24
XII [Podczas obleganych zajęć...]	26
XIII [Widać było, jak idą...]	28
XIV [Chociaż zawsze milczała...]	30
XV [Lubiła starszych panów...]	32
XVI [Teraz byli starzy...]	34
XVII [Kiedy nastawała ładna pogoda...]	35
XVIII [W okolicach Londynu...]	36
XIX [Był gładki i płaski...]	37
XX [Kiedy był mały...]	38
XXI [W czarnym fartuchu...]	40
XXII [Czasem, gdy nikt nie patrzył...]	42
XXIII [Byli brzydzy, byli płascy...]	44
XXIV [Pokazywali się z rzadka...]	46
<i>Tropizmy – czas wiecznie niedokonany</i> (<i>Szymon Żuchowski</i>)	48
Nota o autorce	53

Wydrukowano na Munken Print Cream 15 80 g/m²



Munken
BY ARCTIC PAPER

www.arcticpaper.com